

# ROK 2012 antologia



Rewolucja  
wydawnicza  
2010



Patronat medialny  
nad publikacją objęli:



✔ po przecinku

**NoweCzytanie**  
Odkrywamy czytanie na nowo



Oficyna wydawnicza RW2010 przedstawia:  
ANTOLOGIA ROK 2012

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2012

Redakcja i korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Oficyna wydawnicza RW2010

Okładka Copyright © Mateo 2012

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012

e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-34-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań

Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)

Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

## Spis treści

---

|   |     |
|---|-----|
| SŁOWO OD WYDAWCY .....                      | 6   |
| Romuald Pawlak                              |     |
| ARMIA ŚLEPCÓW .....                         | 8   |
| Maciej Śłużyński                            |     |
| BOŻY KOMANDOS.....                          | 27  |
| Andrzej W. Sawicki                          |     |
| BUNT SAMCÓW .....                           | 51  |
| Agnieszka Hałas                             |     |
| CÓRKA SZTUKMISTRZA .....                    | 86  |
| Maciej Śłużyński                            |     |
| CZASZKA .....                               | 116 |
| Jan Siwmir                                  |     |
| DWIE POMYŁKI .....                          | 123 |
| Dawid Juraszek                              |     |
| HETMAN .....                                | 138 |
| Jan Siwmir                                  |     |
| JEST TAKI KRAJ .....                        | 197 |
| Andrzej Rodan                               |     |
| MOKRE PYSKI ATAKUJĄ! .....                  | 220 |
| Joanna Łukowska                             |     |
| KLESZCZ, czyli BOSKIE POCZUCIE HUMORU ..... | 241 |
| Agnieszka Hałas                             |     |
| KŁOPOT BARONA HOOGSTRATENA .....            | 257 |
| Tomasz Mróz                                 |     |
| KOSMICZNY EDEK .....                        | 298 |
| Romuald Pawlak                              |     |
| KRÓTKI SEN O OPISANIU ŚWIATA .....          | 336 |
| Tomasz Mróz                                 |     |
| M2 czyli KONIEC LENISTWA .....              | 366 |
| Piotr Mrok                                  |     |
| NIE ŚPIEWAJ W TOALECIE.....                 | 379 |

|  |     |
|--|-----|
| Andrzej W. Sawicki                           |     |
| NIEZWYKŁY PRZYPADEK MARTYNY GEWALT .....     | 400 |
| Aneta Rzepka                                 |     |
| OBIETNICA .....                              | 419 |
| Martyna Goszczycka                           |     |
| OBLĄKANA .....                               | 433 |
| Dawid Juraszek                               |     |
| OKO ZA OKO .....                             | 463 |
| Joanna Łukowska                              |     |
| OSTATNI Z RODU .....                         | 508 |
| Marian Kowalski                              |     |
| PEENEMÜNDE. ODWET PATRIOTÓW .....            | 524 |
| Piotr Mrok                                   |     |
| POLSKA NASZA, KURWA .....                    | 576 |
| Aneta Rzepka                                 |     |
| PONAD ŻYCIE .....                            | 600 |
| Joanna Łukowska                              |     |
| ROMAN I JULIA NA BEZLUDNEJ WYSPIE .....      | 608 |
| Andrzej Paczkowski                           |     |
| SEKRET .....                                 | 632 |
| Grzegorz Krzyżewski                          |     |
| TERCET .....                                 | 643 |
| Dariusz Kankowski                            |     |
| VAPAUTAN .....                               | 678 |
| Dariusz Kankowski                            |     |
| ŻABY i GOŁE BABY .....                       | 704 |
| NOTKI O AUTORACH.....                        | 712 |
| POSŁOWIE.....                                | 717 |
| Maciej Śłużyński                             |     |
| ROK W EBOOKACH.....                          | 717 |
| Maciej Tyran                                 |     |
| CYFROWE WYDAWNICTWA SZANSĄ DLA EDUKACJI..... | 720 |

## SŁOWO OD WYDAWCY

Drodzy Czytelnicy!

Oficyna Wydawnicza RW2010 chciałaby z okazji nadchodzących Świąt ofiarować Wam najlepszy prezent, na jaki nas stać. Przedstawiamy zatem antologię opowiadań „Rok 2012”. Zawarliśmy w niej dwadzieścia dziewięć utworów, których autorami są współpracujący z nami przez ostatni rok pisarze. W ich zacnym gronie znajdują się twórcy już uznani oraz zupełni debiutanci, nestorzy pisarstwa oraz literacka młodzież. Wszystkim dziękujemy za ten wspólny czas i ze wszystkich jesteśmy szczerze dumni.

Jako wydawnictwo zadebiutowaliśmy równo rok temu, 6 grudnia 2011 roku. Dlatego wydaje nam się, że nadszedł czas na małe podsumowanie mijającego roku. Podsumowanie takie znajdziecie na końcu niniejszego zbioru; tu pragniemy tylko podziękować autorom, że zechcieli podzielić się z nami i z Wami częścią swojej twórczości.

Jeszcze tylko słów kilka o kluczu, na podstawie którego dokonaliśmy wyboru prezentowanych tutaj tekstów. Po pierwsze – w antologii znalazły się opowiadania tych autorów, którzy w ciągu minionego roku opublikowali w naszej oficynie przynajmniej jedną książkę. Po drugie – wybraliśmy te teksty, które cieszyły się największą popularnością wśród naszych Czytelników, czyli miały najwięcej „pobrań” z naszego serwisu. A jeżeli się wahaliśmy między kilkoma pozycjami, decyzję pozostawialiśmy autorowi. Po trzecie – aby uniknąć nieporozumień i nie wartościować zebranych tekstów – ułożyliśmy je w porządku alfabetycznym według tytułów.

Opowiadania w oczywisty sposób reprezentują wydawaną przez nas tematykę. Dlatego najwięcej jest w zbiorze opowiadań fantastycznych; pod względem treści, ale

też wykonania. Niemniej wielbiciele obyczaj, romansu, horroru, groteski i satyry też znajdą w naszej antologii coś dla siebie.

Zapraszamy do lektury i życzymy wszystkim... Zacztyanych Świąt!

Pozdrowienia

Zespół RW2010

**Romuald Pawlak**

## **ARMIA ŚLEPCÓW**

Cisza w prywatnej komnacie cara Samuela była tak wielka, tak nieznośna, trwała tak długo, że komuś mniej cierpliwemu niż jego doradca Tiabros mogła się wydawać czymś strasznym. Mnich był jednak przyzwyczajony do tych chwil, kiedy władca zapadał w głębokie zamyślenie. Usiadł przy kominku, na którym płonęły sosnowe drwa, i obserwował swego pana ze spokojem.

Samuel wciąż milczał i milczał. Tylko drobne mięśnie grające na twarzy cara świadczyły o targającym nim napięciu.

Wreszcie mruknął z niechęcią:

– Odpraw ją. Nie muszę się uciekać do czarów, żeby rządzić państwem.

Mnich wstał. Górował teraz nad władcą – i byłaby to niebywała wprost obraza, karana gardłem, gdyby obaj nie znali się tak długo, niemal od dziecka. Samuel nigdy nie traktował swego doradcy jak innych.

– Ale ona... – zaczął Tiabros.

Władca spojrzał na niego zimnym, spokojnym wzrokiem. Lecz gdzieś tam, na dnie tego spojrzenia, wprawne oko mnicha dostrzegło rozpacz.

– I nikt nie może się dowiedzieć o tej propozycji, rozumiesz? – stwierdził Samuel tonem, jakim raczej należałoby wydawać rozkazy śmierci niż poufne dyspozycje. Choć często bywa to to samo.

Doradca zgiął się w niskim pokłonie. Żałował teraz, że nie odmówił księciu Dymitrowi, kiedy ów nakłaniał go do podsunięcia tej kobiety carowi.

– Tak, panie mój. Czym prędzej się jej pozbędę.



\*\*\*

**W**ieszczka nie potrzebowała słów Tiabrosa. Chociaż wyglądała bardzo młodo, jakby zaledwie kilka lat temu zamieniła dziecięce szaty na strój młodej kobiety, sama domyśliła się wyniku rozmowy. Siłę swych rad i przepowiedni po równi czerpała ze świata nadnaturalnego, jak też rozumienia gestów oraz odczytywania wyrazu twarzy ludzi, którzy szukali u niej pomocy.

– Popęłnił błąd – westchnęła, poprawiając czarną, prostą suknię bez ozdób. Spojrzała mnichowi prosto w oczy, uśmiechnęła się ze smutkiem, wreszcie sięgnęła po futrzany płaszcz, dar od księcia Dymitra. – Błądzi w ciemnych korytarzach, a potrzebuje choć promyka światła, który naprowadzi go na właściwą drogę...

Tiabros podszedł i chwycił ją za ramię. Ścisnął gniewnie, z całej siły, jak opierającą się kozę.

– Nie ty będziesz światłem naszego cara! Ciesz się, że nie kazał cię zabić. Wracaj do swego pana i raduj się pobytem w Ochrydzie, póki możesz.

Kobieta prychnęła cicho. Po raz ostatni rozejrzała się po komnacie. Nigdy nie była tak blisko cara. Nawet stąd czuła jego rozdzierającą samotność, smutek i potrzebę rozwiania krążących nad jego głową mgieł. Także obaw o przyszłość.

– Naprawdę powinien mnie wysłuchać... – podjęła.

Mnich z rozmachem uderzył ją w twarz. Zdziwił się własnej reakcji, może nawet trochę przestraszył, uniósł rękę, jakby chciał coś zrobić, może przeprosić zaskoczoną wieszczkę. Skończyło się na tym, że po chwili wahania wskazał jej drzwi. Pocierając dłonią bolący policzek, podążyła ku wyjściu.

„Wracaj sobie do księcia” – pomyślał Tiabros z nagłą złością.

\*\*\*

**Z**ostawszy sam, car wreszcie mógł przestać udawać. Był zmęczony, czuł się stary niby biblijny prorok, którego imię nosił. I jak on, spoglądając w przeszłość, mógł

---

rzec: „Moją zasługą jest ich zjednoczenie. Jak Samuel biblijny zjednoczył Izraelitów przeciw Filistynom, tak ja zebrałem plemiona i ziemie przeciw ciemności, dałem swym ludziom własne państwo”.

Teraz jednak to wszystko wymykało mu się z rąk. A winien temu był ów przeklęty władca Konstantynopola, Bazyli II.

Obaj młodo wstąpili na swe trony. Wojnę toczyli od kilku dekad, niby w imieniu państw, ale było w tym coś osobistego, jakaś gra sił i charakterów, mocowanie się niby w zapasach. Zacięci wrogowie, którzy nigdy nie spojrzeli sobie w twarz...

Pośród osobistych rzeczy w jednej ze skrzyń Samuel trzymał medalion z obliczem Bazylego. Był to portret władcy, który porzucił już hulaszczy i lubieżny tryb życia, z jakiego ongiś słynął. Portret mężczyzny surowego, podejrzliwego i drażliwego. Skupionego na jednym celu: rozszerzeniu granic Cesarstwa tak bardzo, jak to tylko możliwe za życia jednego człowieka.

Czasem Samuel przeklinał go, jak podczas tej greckiej wyprawy, kiedy został ranny w bitwie z bizantyńskim wodzem Niketasem Uranosem na ziemiach Peloponezu. Częściej jednak patrzył w oblicze władcy Bizancjum z triumfem, pytając: „No i co, stary głupcze? Co teraz powiesz?”.

Ich drogi po raz pierwszy skrzyżowały się, kiedy młody bazileus poprowadził swą inauguracyjną wyprawę prosto na bułgarskie ziemie przeciw młodemu, ledwie obdarzonego insygniami władzy carowi. Wtedy najeźdźca dotarł aż do Serdyki, sięgnął serca słowiańskiego państwa. Jednak miasta, mimo oblężenia, nie udało mu się zdobyć. I to Samuel był wtedy górą, bo we Wrotach Trajana zastawił pułapkę na powracającą bizantyńską armię, dokonał istnej rzezi. Do dziś na wspomnienie tamtego triumfu staremu carowi lśniły oczy. Och, ależ ci Grecy uciekali! Wytoczoną z nich krwią można by wykreślić szlak aż do Konstantynopola, ha!, nawet dalej, aż ku Doryleum...

Była to zapłata za wcześniejsze upokorzenie, kiedy to władca bułgarskiego państwa, Borys II, spętany więzami niewoli uświetnił triumf Jana Tzymiskesa w stolicy. Samuel zmazał tę hańbę.

Pragnął jednak osiągnąć więcej. Chciał być niby Symeon, którego z honorami przyjęto w Konstantynopolu, który z rąk tamtejszego patriarchy przyjął koronę bazyleusa Bułgarii, a wreszcie niemal został uznany za współcesarza, co drogą sukcesji otworzyłoby mu drogę do tronu Bizancjum.

Niemal. Dworskie intrygi zniweczyły plany Symeona. Młody Samuel, połykając kolejne ziemie słabego Cesarstwa, zamierzał naprawić ten błąd.

Stary car gorzko śmiał się z tych planów żadnego greckiej krwi młokosa, jakim był niegdyś. Być może gdyby trafił na kogoś innego po drugiej stronie, jakiegoś malowanego paniczyka bojącego się doradców, skupionego na czytaniu ksiąg i dworskich zabawach...

Czemu los skrzyżował jego drogi z tym człowiekiem, który jak on nie znosił cudzej potęgi u własnego boku? Przyszło mu walczyć z wilkiem, cesarzem-żołnierzem, nie zaś, jak to zwykle tam u nich bywało, cesarzem-erudytą oderwanym od spraw ziemskich, blakającym się pośród oparów teologicznych czy prawnych dogmatów.

Bazyli na początku z trudem wytrzymawał napór bułgarskich armii. Te docierały nawet pod mury Adrianopola. Lecz z czasem przewyciężył własne słabości, przebudził się w nim prawdziwy wojownik. Ostatnich dziesięć lat to były triumfy Bizantyjczyka. Cesarz już zdołał oderwać Macedonię i Tesalię, odbierał miasto po mieście, twierdzą za twierdzą, a teraz zamierzał wydać Bułgarom walną bitwę pośrodku ich ziem. Car nie miał złudzeń: w lecie wszystko się rozstrzygnie.

Tak... wszystko wymykało mu się z rąk. A co gorsza, jego jedyny syn, Gabriel Radomir, nie nadawał się na następcę. Brakowało mu charakteru, umiejętności rozmawiania z ludźmi, a wreszcie najzwyczajszego rozumu, aby mieć w trudnych

sprawach własne zdanie. Szkoły, do których Samuel posyłał syna, nauczyły go oglądy, lecz ani męstwa, ani przenikliwości władcy. Car z obawą spoglądał w przyszłość i nie pocieszał go fakt, że Bazyli ma podobne problemy ze schedą.

Obaj byli teraz starzy i schorowani. Jeden pragnął zachować to, co z takim trudem stworzył, drugi pragnął to odebrać, aby ze swej potęgi stworzyć pomnik na wieczność.

I to Samuel wciąż się cofał w tej grze, tracił siły. Bazyli triumfował.

Car podszedł do skrzyni, wygrzebał medalion. Otworzył go i popatrzył z nienawiścią na posępne, podobne do wrony oblicze swego wroga.

– Jak cię pokonać? – mruknął.

Naraz ogarnęła go fala gorąca, atak niepohamowanej wściekłości. Rzucił medalionem o podłogę. Podniósł, rzucił jeszcze raz... i jeszcze... dopiero wtedy się uspokoił. Kopnął go pod sofę. „Tam jest twoje miejsce – pomyślał mściwie. – W proch i kurz, w niepamięć!”

Brzek zwabił Tiabrosa. W jego spojrzeniu widać było niepokój.

– Nic się nie dzieje! – uspokoił go Samuel, uśmiechając się gorzko.

Mnich odpowiedział równie kwaśną miną.

– Bardzo głośno myślisz, panie.

Car tylko niecierpliwie machnął ręką.

– Lepiej mi powiedz, co sądzisz w takiej sprawie: twoim zdaniem, ze złej matki może się zrodzić dobry syn?

Doradca dobrze znał swego pana, bez trudu podchwycił tok jego myśli.

– Myślisz, panie, o Teofano, jego matce? Może i zaczynała jako prosta kobieta, może i była morderczynią, jak wieść niesie, ale dla swych dzieci chciała dobrze. I on też może dla Bizancjum jest dobry, choć nam niesie klęskę za klęską.

Samuel skrzywił się. Nic jednak nie rzekł, bo w słowach Tiabrosa kryło się sporo racji, a cenił go za prawdę, nie za głupstwa wypowiedane ze strachu lub umysłowej nędzy.

– Jak do niego dotrzeć? – spytał z rozpaczą. – Próbowałem go szpiegować, otruć, a nawet zawiązać tajny sojusz przeciw niemu z serbskimi góralami. I wszystko na nic. A teraz nęka nas, wiosną znów spróbuje zaleźć za skórę, wygnieść z gniazda, w którym siedzimy.

Mnich westchnął.

– Prawdziwy dziedzic Teofano z niego, panie mój. Trzyma władzę i nie puści, gotów posunąć się do wszystkiego. Nie wiem, czy ktokolwiek ma na niego wpływ. Przecież wiesz, że z nikim niemal się nie spotyka, a decyzje podejmuje sam. Może się boi, a może nie ufa. Trzeba go będzie pobić w polu, nie ma innej drogi.

– To wiem i bez ciebie – wzruszył ramionami zawiedziony Samuel. – Szukałem łatwiejszego sposobu.

Tiabros zawahał się.

– Panie, mogę ją przy...

Uniesiony w niemy ostrzeżeniu palec cara sprawił, że doradca zamilkł w pół słowa. Bezradnie rozglądał się po komnacie. Była niemal pusta. Wystawniej wyglądały pokoje choćby księcia Dymitra, a nawet – co mnich konstatował z pewnym wstydem – jego własna izba. Samuel nie lubił przepychu. „To też łączy go z tym ascetycznym starcem rezydującym w Konstantynopolu” – pomyślał z nagłym zaskoczeniem Tiabros.

– Odejdź – nadspodziewanie łagodnie poprosił jego pan. – Chcę się pomodlić w samotności.

\*\*\*

Ranek, ledwie wstał, posłaniec od Dymitra przyniósł list. Księżę prosił o spotkanie w cztery oczy.

Samuelowi również to odpowiadało. Chciał bez świadków porozmawiać o zbliżającej się kampanii. Wczoraj, w środku ciemnej nocy, przebudził się z krzykiem, a później wstał i wypił kilka łyków wody. Nie mogąc spać, przemyślał sprawę. Bitwa w otwartym polu była ryzykowna, ale można spróbować zwabić starego lisa w pułapkę.

Dymitr wkroczył do komnaty niczym do zbrojowni. Krok miał sprężysty, postawę wojowniczą. Przyklęknął na kolano, chyląc głowę, ale gdy car dał znak, żeby porzucili ceregiele, w spojrzeniu dowódcy bułgarskich wojsk natychmiast pojawił się twardy błysk.

– Odprawiłeś ją, panie? – zaczął.

W pierwszej chwili car nie bardzo wiedział, o co chodzi księciu. Dopiero po chwili domyślił się, kogo Dymitr ma na myśli.

– Odprawiłem – potwierdził. – Przecież wiesz, że nieraz korzystałem z wieszczek i nie uchroniło nas to od klęsk...

Księżę spochmurniał.

– Ona jest inna. Sprawdzona.

Samuel zrobił kilka szybkich kroków po komnacie. Roześmiał się ochryple.

– Sprawdzona jak ta, która kazała nam iść na Adrianopol, w drugą stronę świata, podczas kiedy Bazyli oblegał nasz Widyń? Musi to odciągnąć Bazylego, twierdziła zapatrzona w żywą wodę. Cesarz na pewno ruszy ratować swe miasto... A tymczasem osiem miesięcy oblegał naszą twierdzę, aż padła, i cóż nam dało splądrowanie Adrianopola? Od dziesięciu lat próbujemy odzyskać Widyń, bezskutecznie. Tyle nas kosztowała porada owej kobiety.

Przerwał, by po chwili dodać jeszcze:

– Tak, pamiętam, że nie ty wtedy dowodziłeś wojskami. Ba, nie ty proponowałeś mi tamtą wieszczkę...

– Ona już parę razy przepowiedziała prawdę – mruknął zaczepnie czerwony na twarzy książę. – Można by jednak z tego skorzystać... co szkodzi?

Car podszedł do okna. Na dziedzińcu wymiecionym ze śniegu, którego w nocy napadało po kolana, grupka wyrostków ćwiczyła się w walce na drewniane miecze. Samuel gestem zaprosił Dymitra, wskazał mu dzieciaki.

– Nam są potrzebne męstwo i rozum. Może szpiedzy. Wszystko rozstrzygnie się latem, jak znam życie, za sprawą miecza i łuku.

Westchnął, podszedł do stolika przy jednej ze ścian. Nalał wina do dwóch srebrnych pucharów, jeden podał księciu, drugi zbliżył do ust i upił łyk trunku.

– Dymitrze, chłopcze, ty naprawdę wierzysz w jej brednie? – spytał wreszcie. – Jesteśmy tu sami, nikt nie słucha, to ci powiem wprost: kiepski byłby z ciebie dowódca, gdyby zamiast żołnierzy musiała walczyć za ciebie baba! A przecież cenię cię, bo żeś waleczny i wygrałeś dla mnie niejedną bitwę bez pomocy wrózek czy demonów, samym tylko solidnym żołnierskim rzemiosłem!

Książę jeszcze mocniej poczerwieniał na twarzy, zagryzł wargę tak bardzo, że zdało się – jeszcze chwila i tryśnie krwią. Nic jednak nie odrzekł.

\*\*\*

Tej nocy w komnacie księcia Dymitra świece płonęły długo, a wokół unosił się zapach ziół.

– Musi się strzec Radomira – jęczała wieszczka. – Powiedzcie mu... kiedy na niego spojrzy... jego zimny oddech przyniesie carowi śmierć...

Książę wzruszył ramionami. Nie było w otoczeniu cara nikogo, kto by się tak zwał, poza odesłanym z dworu jego synem. Trzeba będzie o tym pamiętać... w

stosownej chwili. Dymitr uśmiechnął się okrutnie, samymi wargami, nie odsłaniając zębów.

Sięgnął po przyszykowany powróż.

Być może powinien obawiać się skutków tego, co zamierzał uczynić. Był jednak jeszcze niestary, miał dopiero trzydzieści dwa lata. I łaknął władzy, którą nie będzie musiał się z nikim dzielić.

\*\*\*

Dwa dni później psy na przedmieściach wygrzebały ze śniegu ciało wieszczki. Obok leżał okuty kij podróżny i tobołek z rzeczami.

Byli tacy, co się zdziwili, czemu kobieta opuściła stolicę i samotnie powędrowała zimowym szlakiem.

Znaleźli się jednak i tacy jak Tiabros, których modlitwa tego dnia była gorliwsza niż zwykle, jakby ich winy były większe.

\*\*\*

To było coś znacznie gorszego niż porażka z ręki Niketasa Uranosa na Peloponezie! Tamta była przypadkowa, zadana w czasie łupieżczego rajdu, na obcej ziemi. Tu wpadli w sidła szczwanego lisa, który pozwolił im wleźć na przełęcz Biełasicy, niby to uciekając... i naraz okazało się, że jego wojska są wszędzie, po prostu wszędzie, zaciskają pierścień okrążenia wokół armii Samuela! Jakim cudem bazileus przeprowił swe oddziały przez rwący, wezbrany Strymon?! Jakim cudem, zamiast wpaść w pułapkę, sam zdołał ją założyć?!

Gdyby nie poświęcenie Dymitra, stary car już by nie żył, nie uszedłby z zasadzki. Wykpił się poważną raną uda. Leżał teraz bezsilnie na wozie skaczącym na wertepach niby kozica, jęczał, gdy koło trafiało na większą nierówność i wóz podskakiwał, wyrzucając w powietrze miękkie koce wraz z Samuelem.



Ucieczkę prowadził jeden z tutejszych, znający te góry jak własną kieszeń. Wysforował się naprzód, dając grupce towarzyszącej władcy sposobność zamienienia kilku poufnych słów.

– Książę Dymitr walczy jak nigdy dotąd, jak sam diabeł wcielony! – Tiabros, jadący konno obok wozu, próbował pocieszyć cara. – Jeszcze nie wszystko stracone! Jakoś wycofa się z ludźmi. Bazyli nie zdoła przecież całej armii przerzucić byle jakimi przeprawami, a mosty pozrywane!

Samuel pokręcił głową. Był coraz bardziej blady. Z rany wciąż sączyła się krew.

– To nie wystarczy – stęknął. – Ocali ćwierć armii, jak Bóg da.

Naraz zakręciło mu się w głowie. Zamknął oczy i zapadł w niespokojną drzemkę.

Spoglądając na rannego cara, doradca zastanawiał się, czy dowiozą go żywego do Prilepu oddalonego o dwa dni ostrej jazdy.

Zbliżył się do przewodnika i zagadnął go o to.

– Te góry niejednego zmogły – ten chwilę się wahał, nim odpowiedział. – I myśma też się cudem wyrwali. Ale skoro już, damy radę dotrzeć do miasta, moja w tym głowa. Czy cara żywego dowieziem, to inna rzecz, Bóg jeden wie.

Tiabros wzruszył ramionami. Każda góra, u stóp której się przegrywa, jest zła dla pokonanego. I dobra dla zwycięzcy. Mnich miał nadzieję, że nigdy, przenigdy już tu nie wróci.

W dali ponad masywem wznosił się wysoki szczyt nakryty śniegową czapą, gdzieniegdzie tylko odsłaniający granitowe żebra sterczące niczym szkielet kościotrupa. Mijali go z lewej, schodząc do długiej doliny, w której leżał Prilep.

Przewodnik uśmiechnął się do własnych myśli. Widząc strach mnicha, nie podzielił się wiedzą, że tutejsi, mimo iż dobrze znali straszliwe lawiny schodzące z owej góry, nadali jej miano Radomir.

W tutejszym dialekcie *pogadać z Radomirem* oznaczało śmierć w górach.

\*\*\*

Samuela obudziło słońce. Przez zasłony ożywczy, przesiany przez materię blask docierał do łoża cara, rozgrzewając jego słabe ciało.

Dłuższą chwilę stary władca leżał bez ruchu, przypominając sobie, kim jest, gdzie jest i co tu robi. Potem pamięć podsunęła pogrom w biełasicckim paśmie, ranę, paniczną ucieczkę...

Skrzywił się z niesmakiem i zdecydowanym ruchem odrzucił skórę nakrywającą go po brodę.

Udo obwiązane było grubym opatrunkiem, spod którego wyciekała lecznicza maść. Nie bolało, nie wyczuwał również zapachu gangreny. „Będzie dobrze” – pomyślał. Gdzieś zza ściany dobiegał szmer rozmów, jednak Samuel był jeszcze senny i słaby, nie paliło mu się do towarzystwa.

Po chwili usłyszał szmer zawiasów i ktoś przestąpił próg komnaty. Car odwrócił się w tamtą stronę, ale opończa zawieszona nad wejściem skrywała postać wchodzącego.

– Kto? – rzucił półgłosem, odruchowo rozglądając się za jakąkolwiek bronią.

– Ja, panie – uspokoił go Tiabros. Mnich wszedł do środka, starannie zamykając za sobą drzwi. Przysiadł na prostym, drewnianym zydłu przy łożu swego władcy, spoglądając na niego badawczo.

– Jak długo leżę? – spytał Samuel.

– Trzy dni – z wahaniem odparł doradca. – Rana dosyć ciężka, sporo krwi straciłeś, panie...

Car pomilczał chwilę. Trzy dni... a więc jak nic sześć od bitwy.

– A Dymitr? Co z armią?

Tiabros poruszył się niespokojnie. Zydlel zatrzeszczał, jakby miał się rozpaść pod jego ciężarem, choć mnich był szczupły, by nie rzec – chudy. „Cóż, meble tu

takie, jak i miasto: biedne – pomyślał Samuel. – Nie to, co w Ochrydzie”. Prilepski zamek, gdzie się teraz znajdowali, w niczym nie przypominał fortecy w stolicy.

– Nie wiem. Wróciły jakieś luźne grupki, reszta pono pod wodzą Dymitra wciąż się bije...

– Nie chcę żadnego „pono”! – przerwał mu zniecierpliwiony władca, podrywając się z łoża. Wysilek był zbyt wielki, znów opadł na poduszki. – Na co czekasz? Aż tu umrę?! Jak nie wiesz, gońców pchnij, uczyć cię mam?! Do diabła, czemu wcześniej tego nie zrobiłeś?!

Doradca prawie wybiegł z komnaty.

Zaraz potem, jakby przywołany przez Tiabrosa, wkroczył do niej medyk, starszy brodaty mężczyzna o spojrzeniu pijawkarza, który odruchowo szuka u chorego miejsca na ciele, gdzie mógłby ulokować swe oślizgłe stworzenia. Obejrzał ranę, pokiwał głową, wreszcie orzekł, że za tydzień Samuel będzie mógł wstawać.

Później służba przyniosła posiłek. Car wypił trochę rosółu, poskubał pieczystego, wmusił w siebie jabłko, wreszcie gniewnym ruchem ręki odprawił całą tę hałastę.

– Precz! Muszę pomyśleć!

Poczuł się na siłach, aby podumać nad kolejnym ruchem. Bazyli wygrał bitwę. Ale czy wygrał wojnę – oto pytanie!

Nie potrafił się jednak skupić. Ciągłe wracało do niego to samo pytanie, które niby robak drażyło jego umysł od lat.

„Przecież nie jestem tak okrutny jak Krum, nie pijam z czaszki żadnego bizantyjskiego cesarza – pomyślał z rozpaczą Samuel, bezsilnie mnąc pościel. – Chcę tylko dobra swego państwa. Chcę, żeby trwało. Boże mój, czy to naprawdę zbyt wiele?”

Gdzieś tam Bazyli zapewne triumfował. A w sercu cara nienawiść mieszała się z goryczą.

---

„On byłby gotów zmienić swe obyczaje. Skorzystałby z mojego czerepu zamiast ze stołowego srebra, gdyby zaszła taka potrzeba – ciągnął swe ponure rozważania władca Bułgarów. – Przecież już zmienił zwyczaje wojenne. Zamiast rozpoczynać kampanię w pełni wiosny i powracać na swe ziemie w końcu lata, jak przystało cesarzowi, ten wściekły wilk gotów zimować tutaj, walczyć, póki nie osiągnie celu!”

I chwycił się każdego sposobu, nawet podłej zdrady. Dracz przecież nie padł po strasznym oblężeniu, mury nie zostały zrujnowane. Bizantyjczyk przekupił ludzi, miasto bez choćby dnia walki przeszło na jego stronę.

„Czy teraz taki los czeka Prilep? Ja tu leżę, czekając na Dymitra, a może już kupczą mną jak kurą na targu? Może gwarancje dla miasta są warte dla Bazylego widoku starego cara prowadzonego na postronku niby rzeźne ciele, jak inny bazileus prowadził ongiś Borysa II?”

Wreszcie, nie wymyśliwszy niczego poza kolejną próbą skrytobójczego zgładzenia bazileusa, usnął.

\*\*\*

**K**iedy znów wyrwał się z otchłani bólu promieniującego z rany i mroków niespokojnego snu, dzień zmierzał ku końcowi. Słońce zniknęło już z okna.

Uderzyła go cisza.

I to właśnie ona naprawdę zaniepokoiła władcę. Życie w zamku nigdy nie cichnie, a teraz było tak, jakby przez Prilep przeszła zaraza i tylko starego cara Bóg oszczędził.

– Tiabros! – krzyknął.

Głucho... Gdy tylko umilkł jego głos, w komnacie zaległo przykre milczenie. Władca nie słyszał ani szczura czy myszy, jakby wszelka żywina poukrywała się w dziurach.

Dopiero po dłuższej chwili niepewnie skrzypnęły drzwi. Samuel uniósł się ciężko na łokciu, jęknął, bo udo znów ogarnął płomień bólu.

– Leż, panie – poprosił mnich, podchodząc. – Nic... nic się nie dzieje, naprawdę – zapewnił.

Ale jego mina świadczyła o czymś wręcz przeciwnym. Nie umiał kłamać. Może dlatego car zaufał mu kiedyś i nigdy się na nim nie zawiódł.

– Klęska? – stęknął teraz boleśnie, próbując podnieść się z łoża. – Nie kłam mi! Miasto wzięte? Pomór? No mów, przebrzydły klecho, mów, nie oszczędzaj mi prawdy! – Jego ręka mocno zacisnęła się na ramieniu Tiabrosa.

Doradca w milczeniu pomógł Samuelowi stanąć na nogi, widząc, że nie zdoła utrzymać go w łożu niby chorego dziecięcia. Chwiejąc się lekko na nogach, sycząc z bólu, jakim promieniowała rana na udzie, stary władca zrobił kilka kroków, sięgnął po leżący na niskiej ławie pod ścianą płaszcz z rysich skór.

– Mów, co się dzieje! – podniósł głos. – Natychmiast!

Tiabros z trudem przeciskał słowa przez gardło:

– Nasza armia wraca... pobita...

Na Samuelu nie zrobiło to wielkiego wrażenia. Uciekając z biełasiczkiej przełęczy, wiedział przecież, że bitwa przegrana. Skoro część armii wraca, trzeba czym prędzej organizować obronę, bo za uciekinierami może już ciągnie Bazyli ze swym wojskiem.

– Wyjdźmy... trzeba im pokazać, że car żyje... natchnąć nową nadzieją... – rzucał rwane przez ból słowa.

Tiabros próbował coś powiedzieć, ale Samuel nie dał mu dojść do słowa. Pierwszy wyszedł z komnaty.

Wszędzie było pusto, jakby wszyscy puciekali z zamku. Tiabros pamiętał, do której z bram miało dotrzeć wojsko i tam poprowadził cara.

Zdażył się tu już zebrać spory tłum ciekawskich. Wierzeje były otwarte, krata podniesiona. Do środka wkraczała właśnie pierwsza grupa żołnierzy, a droga prowadząca do warowni była czarna od głów postępujących za nimi towarzyszy.

Szli jeden za drugim, niepewnie wystawiając przed siebie ręce jak ślepcy. Car z początku nie rozumiał dlaczego, ale tylko z początku... Niemal wszyscy naprawdę byli ślepcami. Im więcej wkraczało ich na wielki plac zaraz za bramą, tym straszniej to wyglądało. Tylko gdzieś tam któryś z żołnierzy błyskał jedynym ocalałym okiem i prowadził innych dalej w głąb twierdzy, tak jak wcześniej prowadził ich do Prilepu.

W świetle zmierzchu ta karawana ociemniałych oraz ich jednookich przewodników wyglądała gorzej niż senny koszmar. Bo w tym pojawia się zwykle kilka, kilkanaście mrocznych postaci i groźny opar strachu. A tu... przed oczyma Samuela przechodziła niemająca końca armia ślepców, tłocząc się na dziedzińcu, powoli wsiąkając w prilepskie uliczki i bramy. Stary car nie mógł się przebudzić i otrząsnąć z narastającej w nim grozy, wciąż stał na schodach wiodących od zamku ku dziedzińcowi, podtrzymywany przez Tiabrosa.

Gapie milczeli. Tłum wojaków wlewał się wciąż w bramy miasta, powłócząc nogami, z wyciszonym, zrezygnowanym jękiem. Stało się jasne, że Bazyli odesłał wszystkich pochwyconych na przełęczy Bielasicy, wcześniej trwale ich okaleczywszy. Setki, tysiące ślepców.

Samuel do bólu zaciskał zęby. Posłał tę armię na ryzyko wojenne, sam też się przed nim nie uchylił, rwąca rana w udzie świadczyła o tym najdobitniej. Gdyby ci ludzie po prostu zginęli, jak to zwykle ma miejsce – cóż, zniósłby to tak, jak władcy znosili to od początku świata i jak będą to znosić zawsze.

Lecz człowiek, którego tak nienawidził, odesłał mu ich niby żywych, a jednak niezdatnych do niczego, w pewnym sensie już martwych. Wróciły do Samuela słowa

pomyślane jakiś czas temu, „No i co, stary głupcze? Co teraz powiesz?”. Wróciły ciężkie jak kamień.

„Teraz trzeba będzie zaopiekować się tymi ludźmi – myślał z rozpaczą, gniewem i bezsilną wściekłością car. – Tyloma tysiącami ludzi! Jakie to koszty! Już by lepiej było im zginąć w jakimś wąwozie!”

Co gorsza, przecież gdziekolwiek pójdą, będą tam obniżać morale, podrywać wiarę w sens walki. Także morale obecnych żołnierzy, bo który z nich chciałby zostać tak okrutnie potraktowany zamiast zginąć z honorem, jeśli już trzeba?

I wtedy w stronę Samuela skreśliło dwóch ludzi. Jednym był jednooki przewodnik. Drugim... całkiem ślepy Dymitr.

Wspierający się na Tiabrosie władca zrobił kilka kroków w kierunku księcia. Współorganizatora wyprawy. A teraz ofiary tej wojny.

Kilka niezwykle ciężkich kroków. Jakby pokonywał wściekły nurt rzeki.

Przewodnik szepnął coś Dymitrowi, a gdy car i jego doradca byli już na wyciągnięcie ręki, zgiął się w kornym pokłonie. Mnich pomyślał, że zaraz oszaleje, zacznie krzyczeć. Zaczął bezgłośnie modlić się do Boga – nie, wcale nie o cud dla tych nieszczęśników, żeby mogli wrócić do zdrowia. Prosił o łaskę szybkiego zapomnienia tej przerażającej sceny.

Dymitr stał sztywno jakby w obawie, że kiedy zrobi jakiś ruch, przewróci się i ośmieszy. Krwawymi oczodołami spoglądał na Samuela, który nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Czas zdawał się zastygnąć – przynajmniej dla tych kilku osób.

Wreszcie książę spróbował coś powiedzieć. Poruszył bezgłośnie ustami raz i drugi, jednak zamiast słów wydobył się z nich cichy, prawie niesłyszalny szloch. Opuścił głowę i zrobił dwa niepewne kroki w bok. Jego przewodnik poderwał się z kolan, podtrzymał swego wodza...

Władca także nie był w stanie wyrzec ani słowa. Dyszał tylko ciężko, coraz głośniejsze. Na czoło wystąpiły mu grube żyły.

Naraz krzyknął niezrozumiale, ochryple, bardziej gniewnie niż z bólu – i bez czucia padł na śnieg.

\*\*\*

Tiabros czuwał przy łożu umierającego dzień i noc. Odchodził tylko na mszę do cerkwi. Raz poszedł też do Dymitra, który zamknięty w swej komnacie z nikim nie chciał rozmawiać. Doradcę cara jednak wpuścił. I, może powodowany okrucieństwem i złośliwością – ponurymi towarzyszami rozpaczy – a może chęcią powierzenia komuś swego straszliwego sekretu, wyznał, co kiedyś uczynił i za co do końca swego nędznego życia będzie pokutować. Po tym spotkaniu mnich wyszedł wstrząśnięty. Myślał dotąd, że wieszczkę zabił jakiś rabuś, choćby dla cennego futra, które podarował jej książę.

Modląc się, doradca umierającego cara zwykle płakał. A ludzkie współczucie, spojrzenia pełne podziwu i szeptu, jak bardzo kocha swego władcę, sprawiały mu ból tak nieznośny, że chciał krzyczeć pośród tej boskiej ciszy, rozerwać ją na strzępy, zbecześcić.

Któregoś dnia wieczorem po mszy zaczęła go jakaś babina zakutana w szmaty, odstręczająca, śmierdząca biedną starością. Chciał ją odpędzić, by szybciej wrócić do swego władcy, ale ona uczepliła się szaty jak rzep. Przystanął w końcu, pojmując, że prędzej się jej pozbędzie, jeśli wysłucha, co ma do powiedzenia.

Dyszała chwilę zmęczona walką z Tiabrosem, wreszcie spod sukni wyjęła zawiniątko. Ze środka błysnęło kolorowe szkło.

– Straciłam na tej przełęczy syna – wychrypiała. – Ale nasz car dobry był, nie ma we mnie gniewu... Niech tu weźmie tę żywą wodę z cudownego źródła, namaści mu skronie – wetknęła mnichowi buteleczkę w dłoń, zacisnęła troskliwie jego palce, żeby nie upuścił. – Pomagało na straszne choroby, niech spróbuje, nie zaszkodzi... –



zamilkła, bo cóż prosta baba może więcej zrobić, jak dać to, co chowała najcenniejszego. Trzymała dla syna, ale temu już co innego przecież pisane.

Patrząc na tę starą, pomarszczoną kobietę o oczach ongiś niebieskich, teraz wypłowiałych jak niebo w bezchmurny letni dzień, doradca przypomniał sobie naraz twarz tamtej wieszczki w Ochrydzie. I jej słowa.

Teraz dopiero pojął, że brzmiały jak prośba.

Tymczasem nagle w mieście zaczęły bić dzwony.

Mógł nadciągać Bazyli ze swymi wojskami. Albo gdzieś wybuchł pożar, chociaż doradca nigdzie nie dostrzegł warkoczy dymu.

Nie potrafił jednak okłamywać sam siebie. Wiedział dobrze, co naprawdę zwiastuje to bicie dzwonów: to car umarł.

Ukrył twarz w dłoniach. Szklane naczynie wypadło mu z ręki.

Zabłysło światłem gasnącego dnia, nim utonęło w śniegu.

\*\*\*

**W** dwa tygodnie po pogrzebie Samuela mnich Tiabros postanowił poszukać sobie jakiejś pieczary w niedostępnych górach, tam pościć, medytować, a wreszcie umrzeć.

Zrazu próbowano go zatrzymać, tłumaczyć, że zły los się odwróci, a wojnę z bizantyjskim cesarstwem wciąż można wygrać. Radomir, nowy car, chciał go nawet więzić, trzymać w zamkniętej komnacie, póki duchowny nie wyjdzie z najgłębszej rozpacz. Następcą Samuela powodowało nie tyle współczucie, co świadomość, że stary mnich był doradcą ojca, więc ma wiedzę, jakiej Radomir długo nie posiadzie.

Tiabros jednak uparcie wszystkim tłumaczył to samo: że nie chce oglądać upadku swego państwa. Nie wyjaśniał, że miał w swym ręku nic lepszego losu wszystkich Bułgarów i pozwolił jej się wymknąć z bezwładnych palców. We własnych oczach ponosił winę. Powinien był bardziej nalegać. Zrozumiał to wreszcie, choć zbyt późno.

W końcu uznano, że bezpowrotnie oszalał z rozpacz, a jego słowa sięją tylko ferment wśród ludzi. Pozwolono mu więc wyjechać. Pobłogosławił mieszkańców Prilepu i ruszył w swą ostatnią drogę.

Kto wie, może sam Bóg miłosierny wysłuchał jego prośb o łaskę szybkiego zapomnienia? Nie dotarł daleko. Zaraz w drodze dopadły go wilki i rozszarpały na ćwierci, pożywiły się, a część kości rozwłóczyły nieopodal.

Twarz jednak pozostawiły nietkniętą. I ci, co znaleźli mnicha, zdziwili się, bo zamiast grymasu przerażenia na obliczu starego ujrzeli... ulgę.

**Maciej Śłużyński**

**BOŻY KOMANDOS**

Taksówka trzęsła niemiłosiernie, bo też cóż to była za droga! Więcej dziur niż gładkiego asfaltu, a i asfalt już całkiem zszarzał i pewnikiem kruszył się na potęgę. Ale posuwali się mimo wszystko naprzód, choć o wygodach nikt nie myślał.

– Czy daleko jeszcze? – zapytał niecierpliwie jeden z pasażerów, niewidomy czterdziestoletni ksiądz w sutannie i z koloratką poluźnioną pod szyją.

– Kilometrów kilka zaledwie, dobrodzieju – odrzekł ze śpiewnym kresowym akcentem kierowca, zerkając ciekawie w tylne lusterko.

W odpowiedzi ksiądz tylko jęknął i o nic już nie pytał, pograżając się w swoich myślach. Siedząca obok niego młoda dziewczyna z ciekawością wyglądała przez okno, tak jakby ją akurat ta podróż co najmniej bawiła. Od samych Suwałk nie odezwała się ani słowem.

Po jakichś paru minutach kierowca dostrzegł zabudowania.

– Ot i Kaletnik już przed nami – oznajmił zadowolony.

– Kaletnik – powiedziała dziewczyna, patrząc przez przednią szybę – to duża wieś o cechach miasteczka, położona w południowej części gminy Szypliszki. Istniała jeszcze przed rokiem 1780, jako dożywotnia dzierżawa jednego z urzędników królewskich. W pobliżu był folwark, przy którym dziedzic Strzyżewski wznosił drewniany kościółek. Król Stanisław August stworzył w Kaletniku parafię i kościółek Strzyżewskiego został właśnie tu przeniesiony. Niestety spłonął w 1915 roku, podczas działań wojennych. Na jego miejscu wzniesiono nowy, w stylu neoklasycyżnym; jest murowany, otynkowany na biało, posiada dwie wieże.

– A plebanię posiada? – wtrącił ksiądz.

– Tak – odparła dziewczyna.

– No to, panie kierowco, my właśnie tam poprosimy.

Mimo tej prośby taksówkarz jakby zwolnił nieco i obejrzał się za siebie.

– A panienka to uczona jakaś? – zapytał z nieskrywaną ciekawością.

– Nie – odrzekła zapytana. – Jestem tylko przewodnikiem.

– Znaczy... turystycznym przewodnikiem? – indagował dalej, coraz mocniej zaintrygowany.

– Niezupełnie – odburknęła i zamilkła.

Taksówka zatrzymała się na podjeździe przed niskim parterowym domem, stojącym w samym środku wsi, nieopodal wspomnianego przez dziewczynę kościoła. Budynek był nowy, ale zaprojektowany na kształt miniaturowego szlacheckiego dworku. Na progu stał już proboszcz z szeroko rozpostartymi ramionami.

– Witamy, witamy! – zawołał jowialnie, gdy pasażerowie po zapłaceniu uzgodnionej kwoty wysiedli z auta. – Ksiądz Marek, jak przypuszczam, wraz z przewodnikiem, czy raczej przewodniczką! Prosimy! Prosimy gości w nasze niskie progi!

– Uwaga, trzy stopnie – ostrzegła dziewczyna.

– No, to nie takie niskie te progi – zaśmiał się niewidomy ksiądz, przez proboszcza nazwany Markiem, ostrożnie zbliżając się do schodów. – Pewnie zabytkowe?

– Do zabytków należą brama i kaplica cmentarna zbudowana na początku XX stulecia – śmiertelnie poważnie odpowiedziała dziewczyna, podając mu ramię. Po pokonaniu stopni weszli do środka.

Prezentacja, która odbyła się w sieni, była krótka – ksiądz Marek z Kurii Metropolitalnej i Ania, jego przewodniczka, przywitali się z proboszczem Stępniewskim, wymieniając uściski dłoni. Z gośćmi przywitał się również starszy

mężczyzna, przedstawiony im jako wójt Kaletnika. On zachował nieco więcej rezerwy w obejściu.

– Dziwny z was ksiądz – wypalił zniechęcony.

– Dlaczego dziwny?

Proboszcz poruszył się niespokojnie, ale wójt brnął dalej, jakby w ogóle nie słyszał pytania.

– I z dziewczyną podróżujecie. Młoda... – Pokręcił głową z dezaprobatą.

– Czy bardziej do zaakceptowania byłaby dla was sytuacja, gdybym podróżował z chłopcem? Młodym? – w głosie księdza Marka zabrzmiała wyraźna drwina. Wójt zamilkł natychmiast.

– Ania jest moim przewodnikiem, moimi oczami. Nikim więcej – zapewnił ksiądz Marek. Dyskusję na ten temat można było uznać za zakończoną.

Gościom pokazano ich pokoje, gdzie mogli się rozpakować i przygotować do uroczystego, wydanego na ich cześć obiadu. Gospodyni proboszcza stanęła na wysokości zadania, co czuło się w całym domu. Ksiądz Marek z dużą niefrasobliwością cisnął swoją torbę na podłogę tam, gdzie stał. Wyciągnął jedną dłoń i powoli ruszył przed siebie, szurając nogami po podłodze. Kiedy dotarł do ściany i dotknął jej, obrócił się w lewo i powoli obszedł cały pokój dookoła, szczególną uwagę poświęcając oknu. Starannie zbadał sposób jego zamknięcia, otworzył je, wychylił się, a potem cofnął z powrotem do pokoju. Z kieszeni wyciągnął mały kamyczek, wychylił się znowu i upuścił go tuż pod oknem. Kamyczek bezgłośnie upadł w trawę, a on uśmiechnął się pod nosem i dokładnie zamknął okno.

Ania powoli i z namysłem rozpakowywała swoje rzeczy, pieczołowicie układając je w szafie i w komodzie. Pokojowi nie poświęciła ani odrobiny uwagi, ale zanim wyszła, żeby pomóc się rozpakować swojemu towarzyszowi, obejrzała bardzo dokładnie drzwi. W zamku brakowało klucza, a odkrycie tego faktu sprawiło, że

zmarszczyła z niezadowoleniem brwi. Widać nikt tu niczego przed nikim nie musiał zamykać. Westchnęła ciężko i przeszła ze swojego pokoju do sąsiedniej sypialni.

– Pomóc ci się rozpakować? – zapytała.

– Jasne. Ciekawe, co dzisiaj będzie na obiad?

Pociągnęła nosem.

– Kurczak – mruknęła bez specjalnego entuzjazmu.

– Mylisz się, moja droga – odparł ksiądz Marek i również głęboko wciągnął powietrze przez nos. – Zaufaj ślepemu: to drób, ale bardziej szlachetny. Stawiam na bażanta...

**P**odczas obiadu, którego rzeczywiście główną atrakcją był faszerowany pasztetem pieczony bażant, proboszcz nadal zachowywał się uprzejmie, ale od czasu do czasu zerkał ciekawie na swoich gości. Również drugi z gospodarzy, wójt Kaletnika, nie krył swojego zainteresowania, choć pomny reprimendy podczas powitania nie kwapił się z ujawnianiem jakichkolwiek swoich przemyśleń. Rozmowa aż do deseru toczyła się wokół spraw dość ogólnych; kiepskiego urodzaju w tym roku z powodu suszy, fatalnego stanu drogi do Kaletnika, zwłaszcza na jej ostatnim odcinku, i połowów ryb w miejscowym jeziorze. Ale przy deserze lodowym własnej roboty, przygotowanym – a jakże – przez gospodynię proboszcza, neutralne tematy skończyły się i na chwilę zapadła cisza.

– A może zapytam wprost? – zagaił niewidomy ksiądz. – Czemu zawdzięczam wasze zaproszenie, przekazane mi przez Jego Eminencję biskupa?

Proboszcz i wójt spojrzeli po sobie, jakby dopiero teraz ustalali, który z nich udzieli niezbędnych wyjaśnień. Wreszcie, jako rzeczywisty gospodarz, głos zabrał proboszcz:

– To w sumie trochę dziwna historia, a w skrócie można by ją zamknąć w jednym zdaniu. Otóż w pobliskiej wsi, Bobrowisku, straszy... Wiem, że to brzmi

dość idiotycznie – dodał szybko, nie zważając na nieśmiałe protesty gościa – zwłaszcza gdy jedna osoba duchowna mówi o tym innej osobie duchownej.

– A czyż osoby duchowne nie powinny się zajmować właśnie duchami? – zapytał zniecka ksiądz Marek, czym wprowadził proboszcza w wesoły nastrój, który nijak nie przystawał do opowiadanej historii.

– Osoby duchowne raczej zajmują się duszą, a nie duchami – wyjaśnił, uśmiechając się szeroko.

– A czymże jest duch, jeśli nie duszą potępioną, która błąka się po ziemi w poszukiwaniu wiecznego spoczynku? – nie ustępował przybysz, a proboszczowi nieco zrzędał mina.

– Chyba ksiądz... ksiądz nie wierzy w duchy?

– O! Ja nie tylko w nie wierzę. Ja je wiele razy widziałem.

– Ale... – zająknął się wójt, a gość zwrócił ku niemu swoją twarz.

– Tak. Widziałem je. Przecież nie jestem ślepy, tylko niewidomy. A to jednak różnica.

– Niby jaka? – dopytywał się wójt.

– Istotna, ale pomijając szczegóły, niewidomy nie widzi rzeczy fizycznych, a ślepy... jest ślepy na wszystko. Więc – zwrócił się z powrotem do proboszcza – we wsi straszy. Jak straszy?

– To może różnie straszyć?! – przesadnie zdziwił się wójt, który za nic nie chciał zrezygnować ze swojego aktywnego udziału w dyskusji.

– Może bardzo różnie, ale zbyt długo byłoby o tym opowiadać. Jak straszy w tym konkretnym przypadku?

– No, chciałoby się rzec, że jakoś tak dziwnie – proboszcz podrapał się z zafrasowaniem po łysej głowie – ale co ja wiem o straszaniu. W każdym bądź razie młyn jest opuszczony, a wokół niego dzieją się rzeczy dość niezwykle...

– Od dawna młyn jest opuszczony? – zainteresował się ksiądz.

– Jakby to powiedzieć... Mieszkańcy wynieśli się z młyna po tym, jak zaczęło w nim straszyć. Wygląda to tak, jakby coś ich stamtąd przegoniło.

– Robi się coraz ciekawiej... A kiedy to się zaczęło?

– Jakoś tak na wiosnę – wtrącił się wójt. – Synowie młynarza najęli się na przednówku do prac przy pogłębianiu jeziora, bo tu u nas ma powstać stacja wędkarska, a jezioro zarosło i zabagniło się, torfowcem zarastając. Powiadają... – tu zniżył głos – powiadają, że synowie młynarza skarb w jeziorze znaleźli i do domu ponieśli nocą, nic nikomu nie mówiąc i nikomu go nie pokazując. A nocy następnej przyszła zjawa, która tego skarbu z jeziora pilnowała, w okiennice zaczęła walić, wyć jak dusza potępiona, w obejściu przewracać wszystko... I tak było co noc, aż młynarz z żoną nie wytrzymali i wynieśli się do mnie do chałupy. Od tej pory niby jest spokój, ale do młyna za dnia wejść nie można, jakby jakaś niewidzialna siła odgrodziła budynek od świata. A znowu w nocy tam podejść – strach, bo ciągle się coś dzieje niedobrego. Zupełnie jakby... – tu się zawahał, ale ksiądz Marek go wyręczył:

– Jakby ta zjawa pilnowała młyna – podpowiedział.

– Tak. Jakby pilnowała i nikogo do środka wpuścić nie chciała.

Wójt chciał nerwowo zastukać palcami w stół, ale ubiegł go letni deszcz, który niespodziewanie zabębnił w okna i dach plebanii.

– Czy macie panowie jakieś podejrzenia? – zapytał ksiądz Marek.

– Podejrzenia względem czego?

– No z czym duchem możemy tu mieć do czynienia.

Przy stole zapanowało niezręczne milczenie. Wreszcie odezwał się proboszcz:

– To ja opowiem, bo chyba rzeczywiście może chodzić o konkretną osobę. Otóż na długo przed drugą wojną żyła we wsi stara kobieta, zdaje się Cyganka albo Żydówka. Zajmowała się trochę ziołami, trochę leczeniem i pewnie trochę też wioskowymi czarami. Ludzie się jej bali, ale po rady i zioła przychodzili, choć w wielkiej tajemnicy. Za to wszyscy z Bobrowiska i okolicznych wsi obwiniali ją

---



zawsze o to, co najgorsze; jak się kury nie niosły – to winna była cyganicha, jak ktoś zaniemógł – żydówica urok rzuciła, i tak dalej przez wiele, wiele lat. Potem doszło do samosądu, bo oskarżono tę biedną kobietę, że kogoś otruła, ale żadnych bliższych szczegółów nie znam, bo jestem tu zaledwie od ośmiu lat i jeszcze nie wszystko mi mówią.

– Czy ja dobrze zrozumiałem? – dopytywał się ksiądz Marek. – Obwiniano ją o czary i o wszelkie złe rzeczy, a potem zabito?

Proboszcz niechętnie przytaknął.

– A to ciekawe... Kozioł ofiarny, który stał się demonem.

– Kozioł ofiarny – zaczęła Ania – to jeden z kluczowych mechanizmów antropologicznych, który prawdopodobnie występuje we wszystkich kulturach. Grupa społeczna w momencie kryzysu, dezintegracji czy zagrożenia, by powrócić do stanu utraconej równowagi, obiera sobie ofiarę, która staje się najpierw obiektem drwin, a potem obiektem zbiorowej agresji ze strony całej grupy.

– Zrozumcie, panowie – wtrącił ksiądz Marek – że zawsze kozłem ofiarnym zostaje osoba zupełnie niewinna, co nie przeszkadza członkom społeczności obarczać ją odpowiedzialnością za urojone przewiny. U takiej osoby, wyklętej, wykluczonej z grupy, może to doprowadzić do zmian w świadomości. Jeśli taki proces trwa odpowiednio długo, ona sama zaczyna czuć się winna.

– A kto się może stać takim... takim kozłem?

– Cechy, które powodują, że wybór społeczności pada na daną osobę, mogą być rozmaite – tłumaczyła Ania – ale zawsze posiadają jeden wspólny mianownik: inność. Obce pochodzenie i nierzadko związana z tym odmienność fizyczna, czyli na przykład inny kolor czy odcień skóry, w dodatku połączony z odmiennością psychiczną – to wystarczy.

– Jedna rzecz mnie tylko zastanawia – zauważył ksiądz Marek – zwykle mamy do czynienia z sakralizacją ofiary, zwłaszcza jeśli jej złożenie przyczynia się w

oczach społeczności do poprawienia ogólnej sytuacji. A tutaj nastąpiło zjawisko odwrotne – demonizacja. O takim przypadku jeszcze nie słyszałem...

– Tak, to faktycznie może i jest ciekawe, ale ja się pytam, co ksiądz zamierza z tym zrobić? – Wójt zdradzał pierwsze oznaki zniecierpliwienia.

– Najpierw zamierzam pozwiedzać. – Pytany uśmiechnął się tajemniczo, podziękował i wstał od stołu.

**P**roboszcz miał starego rozklekotanego Wartburga, więc podróż do oddalonego o dwa i pół kilometra Bobrowiska nie była może komfortowa, ale dość krótka. Dojechali tylko na skraj wsi, gdzie auto się zatrzymało i cała czwórka wysiadła.

– O, to tutaj – rzekł wójt, wskazując na ruinę małej chałupki ze ścianami z dobrze wypalanej gliny. Po chwili zmieszał się nieco, bo przypomniała mu się ułomność księdza Marka, ale Ania natychmiast zaczęła beznamiętnie opisywać:

– To musiała stać kiedyś jakaś stara chałupa. Teraz tylko dwie ściany z gliny zostały i puste otwory po oknach, jak oczodoły w czaszce... Chwasty wokół i jaszczurek mnóstwo. Dzika malina też tu rośnie, ale chyba wody ma mało, bo jagód żadnych nie widzę, a to już pora najwyższa...

– Wody mało, bo rzeka innym korytem teraz idzie – wtrącił wójt. – Przedtem szła o tu, przed górką.

– A czemu teraz nie idzie? – zapytał ksiądz Marek.

– Bo koryto nowe wykopane, aby do młyna był większy spad.

– To i malina nie rodzi...

– Ano – nie rodzi.

– Co ciekawe – wtrąciła Ania – żadnych ptaków ani owadów tutaj w powietrzu nie ma i nie słyhać ćwierkania czy brzęczenia. Nic nie słyhać. Cisza taka, że...

– ...że nawet i ja ją widzę i słyszę – mruknął ponuro ksiądz Marek. – Ale wydaje mi się, że ta historia miała bardzo, bardzo ponure zakończenie. Ja to po prostu

czuję. A tutaj, w tym miejscu, rozegrała się pierwsza część dramatu... Czy możemy podjechać teraz do młyna?

– Za jasnego można, choć też strach – mruknął przyzwalająco wójt, więc wsiedli z powrotem do Wartburga i powoli przejechali przez całą, liczącą zaledwie dwanaście chałup, wieś.

**R**zeka zaraz za zrujnowaną chałupką ginęła gdzieś wśród pól, aby po ominięciu wioski szerokim łukiem powrócić przy samym jej końcu, gdzie na małej stromiźnie, schodzącej w dół do stawu, stał młyn – potężny budynek z widocznym już z daleka nadsiębiernym kołem, które furkotało jak oszalałe, przewalając hektolitry bezużytecznej teraz wody. Koło obracało się wartko, bo spadek rzeczki rzeczywiście był spory, ale nie napędzało żadnych urządzeń. Panującą wokół ciszę mącił tylko turkot jałowo obracającej się osi i bulgot wody w stawie poniżej. Sam zaś budynek młyna wyglądał na nieruszony, cichy, spokojny i opuszczony. Ale w żadnym z okien nie ostała się ani jedna cała szyba.

Powoli szli w jego stronę, aż nagle wójt stanął jak posąg.

– Ja... kroku dalej nie zrobię... – wysapał.

– Boicie się, kumie? – zażartował dobrotliwie proboszcz.

– Pewnie, że się boję, choć ze świętymi osobami nie strach iść nawet przeciw siłom nieczystym. Ale ja... ja dalej iść nie mogę. Coś mnie trzyma i nie pozwala kroku naprzód zrobić.

– Atak paniki może objawiać się czasowym, częściowym lub całkowitym paraliżem... – zaczęła Ania, ale wójt przerwał jej gwałtownie:

– Nijakiej paniki nie mam! – wrzasnął. – Iść po prostu nie mogę! Próbuję, ale... o! Jakbym przed ścianą stał.

– To i stójcie tutaj sobie dalej – proboszcz wzruszył ramionami – a my wejdziemy do środka.

Młyn podzielony był na parterową część mieszkalną, do której wchodziło się z wysokiego ganku, i na położoną poniżej podbudówkę, z wejściem prawdopodobnie od drugiej strony, w której znajdowały się maszyny i urządzenia. W części mieszkalnej panował nieopisany wprost bałagan. Sprzęty były powywracane, krzesła połamane, podarte zasłony walały się na podłodze. Wszystko wyglądało jak po przejściu wichury, co beznamytnym głosem Ania opisywała księdzu Markowi. Ten stał nieruchomo w korytarzu, a dziewczyna podchodziła kolejno do drzwi poszczególnych pomieszczeń.

– O, a kuchnia jaka... Wszystkie naczynia pobite... W pokoju krzesło połamane i drugie też... Telewizor rozbity...

– A lustra? Lustra całe? – dopytywał się ksiądz Marek.

– Pobite wszystkie co do jednego, tak jak szyby w oknach. Ale oprócz tego bałaganu to nic dziwnego tutaj nie widzę...

Proboszcz stanął w samych drzwiach, tak na wszelki wypadek. Wyglądał, jakby był gotów do natychmiastowej ewakuacji, choć dokonałby jej z godnością i bez wielkiego pośpiechu, tak żeby nikt nie mógł jej nazwać ucieczką. Ksiądz Marek wciąż trwał nieruchomo na środku korytarza i z uwagą słuchał relacji dziewczyny.

– Czy są tu jakieś schody na strych? – zapytał.

– Tak, są – Ania przerwała rekonesans i doprowadziła niewidomego do poręczy schodów, które zaczynały się w połowie korytarza, a których koniec pograżony był w ciemnościach.

– To... – powiedział – ...to jest na górze.

Zaczął wchodzić po drewnianych, skrzypiących stopniach. Powoli, tak powoli, że gdyby zwolnił jeszcze odrobinę, stanąłby w miejscu. Pozostali widzieli jego zgarbione plecy i niemal czuli opór powietrza, jakby sama natura broniła wstępu na strych. Ale ducha tu nie było, a w każdym razie – oni go nie dostrzegali. Kiedy ksiądz dotarł na szczyt schodów, z wysiłkiem pokonując każdy kolejny stopień, zamiast na

zagraczonym – wiejskim zwyczajem – strychu stanął w obszernym i zupełnie pustym pomieszczeniu. Podłoga była starannie zamieciona, bo kiedy przesuwiał się, szurając nogami, wyraźnie pod podeszwami lekkich półbutów czuł strukturę drewna równo przyciętych desek leżących na podłodze.

Niespiesznie obszedł całe pomieszczenie, dotykając cały czas lewą dłonią ściany, a prawą wyciągając przed siebie w badawczym geście. Nie natknął się jednak na żadną przeszkodę, choć wyraźnie odbierał, że coś tu jest; jakaś przeszkoda właśnie, ale nie w sensie fizycznym. W każdym razie – nie tylko.

– Macie jakąś wodę? – zawołał w dół schodów. – Coś do picia?

– Ja mam butelkę wody mineralnej w samochodzie! – odrzyknęła Ania.

– To przynieś ją tutaj na górę i sama też wejdź. Księdza proboszcza również zapraszam – będę potrzebował pomocy.

Dziewczyna bez wahania wybiegła na dwór. W drodze do Wartburga minęła wójta, który stał koło auta i nerwowo palił papierosa. Nie zaszczyciła go nawet jednym spojrzeniem, tylko porwała butelkę z wodą i pędem wróciła do młyna. Z rozpędu dotarła do podnóża schodów i stanęła jak wryta, jakby trafiła na niewidzialną barierę.

– Nie mogę wejść! – zawołała z rozpaczą.

– Spróbuj teraz! – usłyszała głos z góry i niewidzialna bariera zaczęła przed nią ustępować.

Nie bez wysiłku, pokonując opór gęstego powietrza, wdrapała się na sam szczyt. Ksiądz Marek klęczał tuż przy schodach i modlił się żarliwie. Duszne i ciężkie powietrze wokół poczynało jakby rzednąć, unosiło się w górę wraz z niewidzialną zasłoną. Obejrzała się za siebie i usłyszała sapanie; to proboszcz człapał jej śladem i wkrótce dołączył do nich, ocierając pot z czoła wielką, kraciastą chustką.

– Gorąco tutaj – poskarżył się. – To pewnie przez ten blaszany dach.

– To nie dachu wina – wyjaśnił ksiądz Marek. – Daj mi tę wodę, Aniu. – Kiedy dziewczyna podała mu butelkę, odkręcił ją, wylał nieco na rękę i powiedział: – Niech ksiądz proboszcz pobłogosławi tę wodę.

Duchowny zdumiał się, unosząc brwi w niemym pytaniu, ale przypomniawszy sobie, że ksiądz Marek nie może zobaczyć wyrazu jego twarzy, westchnął ciężko i uczynił nad jego dłonią znak krzyża.

– Już – powiedział.

Marek wziął mały zamach i chlusnął całą garść wody tuż pod swoje nogi. Potem nalał na dłoń nową porcję.

– Jeszcze raz – zażądał, przesuwając się dwa kroki do przodu. Proboszcz, chcąc nie chcąc, postąpił za nim i powtórzył znak krzyża.

Marek znowu chlusnął wodą święconą pod swoje nogi. Znowu nic się nie stało.

– Jeszcze.

Trzeci zamach, trzecie chlapnięcie.

Posuwająca się za nim krok w krok Ania wstrzymała oddech. Woda opadła na podłogę, ale już nie tak zwyczajnie. W miejscu najbardziej oddalonym od nich zaczęła syczeć i parować, tak jakby trafiła na rozgrzaną blachę. Niewidomy ksiądz usłyszał ten dźwięk i stanął w miejscu.

– Jeszcze! – rozkazał zduszonym głosem.

Tym razem podstawił do wyświęcenia całą butelkę. Kiedy proboszcz po raz kolejny wykonał znak krzyża i powiedział „już”, zaczął nią wymachiwać w górę i w dół, w prawo i lewo, skrapiając całą przestrzeń przed sobą; już nie podłogę, ale powietrze. Wytworzyły się w tym miejscu kłęby pary, a pośród nich...

– Widzicie coś? – zapytał ksiądz Marek chrapliwym głosem.

– Tak – powiedziała Ania. – Zarys prostokątnej skrzyni, która jakby trochę świeciła swoim własnym światłem, a trochę pochłaniała światło z otoczenia. Dziwnie wygląda...

– Czy ona jest, czy jej nie ma? – zapytał z trwogą proboszcz Stępniewski.

– Jest, ale wy jej tak naprawdę nie widzicie – odpowiedział tajemniczo ksiądz. – Albo raczej jej nie ma, ale wy ją widzicie.

Para przestała się unosić, a kształty, i tak dość niewyraźne, zaczęły jeszcze bardziej się rozmazywać, aż wreszcie, z ostatnią smużką pary wodnej, zniknęły. Jakby ich nigdy nie było. Albo inaczej – jakby dziwna skrzynia istniała, ale poza zasięgiem ich zmysłów. Poza ich światem.

**W** gospodzie panowała trudna do opisania atmosfera. Niby wszyscy byli serdeczni, ale wyczuwało się niemal namacalne napięcie. Wejście obcego, w dodatku księdza, na dokładkę niewidomego i pod rękę z młodą dziewczyną, sprawiło, że wszyscy zamilkli, gwar ustał jak nożem uciał, a trzydzieści par oczu skierowało się na nich. Ania poprowadziła księdza Marka do wolnego stolika, ale on pociągnął ją za rękę i wybrał inny, stojący bardziej na uboczu i też wolny. Usiadł, a ona podeszła do bufetu, zamawiając herbatę dla swojego podopiecznego i butelkę Pepsi dla siebie.

– Wyście goście księdza proboszcza? – zapytała domyślnie bufetowa, podając napoje do stolika.

Oboje potakująco skinęli głowami.

– A co to, na plebanii zabrakło napojów? – zdziwiła się kobieta.

– My tu czego innego szukamy – powiedział ksiądz tak głośno, żeby wszyscy słyszeli.

– Czego mianowicie?

– Końca pewnej historii... i najstarszego mieszkańca w okolicy.

– Czy jakiś koniec tu znajdziecie, tego nie wiem. – Bufetowa wzruszyła ramionami. – A najstarszy z naszych, to chyba będzie Maksym Kimszal. Ale go jeszcze tu nie widzę.

– Czy jak przyjdzie, poprosi pani, żeby się do nas dosiadł?

W odpowiedzi zaśmiała się serdecznie.

– Prosić go nie będzie trzeba – odparła. – Siedzicie przypadkiem przy jego stoliku.

– W życiu nie ma czegoś takiego jak przypadek – stwierdził filozoficznie ksiądz.  
– Jest za to szczęście, a ja mam wyjątkowe szczęście. Ależ pyszna ta herbata!

Po pół godzinie do ich stołu podszedł staruszek z kufelkiem piwa. Uprzedzony przez bufetową nie okazał cienia zdziwienia, zastając przy swoim stoliku nieproszonych gości.

– Wyście od księdza proboszcza... – zapytał, siadając.

– Tak.

– I końca historii szukacie? Tej historii?

– Właśnie.

– A co z początkiem?

– Początek już chyba znamy. Teraz chcemy poznać zakończenie.

Staruszek pociągnął tęgi łyk, tak że w kuflu zostało na dnie nieco tylko piany, otarł wierzchem dłoni sumiaste wąsy i zaczął:

– Jeden z gospodarzy...

– Młynarz? – przerwał mu ksiądz z ciekawością.

– Ano, młynarz, dobrodzieju. Skąd żeście wiedzieli o tym? – zdziwił się dziadek.

– Czemu to zawsze musi być młynarz? – ksiądz mruknął pod nosem sam do siebie, a ręką machnął do Maksyma, żeby mówił dalej.

– ...i ten młynarz kiedyś poszczuł cyganicę psami. Ona zaś w zemście rzuciła urok na jego dobytek; kury przestały się nieść, krowy straciły mleko i tak dalej. Kiedy zaniemógł sam gospodarz, ludzie z wioski poszli pod jej chałupę – zamilkł na chwilę i pociągnął łyk piany z prawie pustego już kufla. – No i masz ci los, piwo się skończyło, a jeszcze tyle do opowiedzenia...



Ksiądz dotknął ramienia dziewczyny; ta bez wahania wstała i poszła po nowy kufel. Zanim dziadek się wysapał, postawiła przed nim pełne naczynie. Upił z wdzięcznością, tym razem mały łyczek, i sięgnął po papierosa.

– Przyszli po nią pewnej ciemnej nocy majowej – ciągnął staruszek z przejęciem, puszczać nosem siwy dym. – Zebrali się na drugim końcu wsi i szli w milczeniu przez całe Bobrowisko. I nawet ani jeden pies nie zaszczekał. Pochowały się pewnie ze strachu, że po nie też przyjdą, gdyby szczerkały. Stanęli wokół jej chałupki, ze trzydziestu dorosłych chłopów, i tak stali przez chwilę. Gdyby wtedy księżyc wyszedł choć na chwilę zza chmur, może by się opamiętali jakoś, ale tak stali w ciemnościach. I – ciężko powiedzieć dlaczego – nagle strach w nich taki się pojawił, że aż pobledli. A potem zamiast strachu przyszło coś takiego na nich, że już się bać przestali. Drzwi wyważyli, może też i okna wylamali, wleźli do środka, pojмали wiedźmę, ręce wykręcili, za włosy przytrzymali i powlekli na zewnątrz.

– Mówicie tak, jakbyście na własne oczy widzieli – ni to zapytał, ni to stwierdził ksiądz.

Staruszek właśnie zwilżał gardło i aż się zakrztusił.

– Ale tam! – zaprotestował, odstawiając z hukiem kufel. – W życiu nigdy! Toż ja dopiero osiemdziesiąt lat mam, a to było we dwudziestym jakoś tak roku... A wiem dokładnie stąd, bo to wszystkie tu wiedzą. – Potoczył wzrokiem po sali. Miejscowi w milczeniu jęli potakiwać głowami. – U nas to się opowiada każdemu, kto posłuchać zechce. Ja od ojca słyszałem nieraz tę historię, stąd wiem.

– Czyli ojciec pana tam był?

– Ojciec nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą, to może i był. Mnie tam się nie spowiadał...

– No i co było dalej? – ponaglił ksiądz.

– Doprowadzili ją aż do młyna i tam się odbył sąd. Za wszystko złe, co się działo we wsi po wojnie, obwinili ją i skazali na śmierć. A potem... potem wsadzili ją

żywcem do drewnianej trumny ze srebrnymi okuciami i obitej łożnianymi blachami. Trumnę załadowali na łódź i popłynęli rzeką aż do jeziora. Tam ją utopili. Ot i wszystko...

Staruszek dokończył swoją opowieść równo z piwem, westchnął, otarł usta i z uprzejmym podziękowaniem wstał od stolika. Oni zaś po chwili, potrzebnej bez wątpienia na wstępne choćby przetrwanie uzyskanych informacji, także wstali i skierowali się ku wyjściu.

Ogarnęła ich ciepła sierpniowa noc. Ania ujęła księdza Marka pod ramię i skierowała w stronę plebanii, ale nagle za ich plecami drzwi od gospody otworzyły się i usłyszeli trwożliwy szept:

– Proszę księdza... halo... proszę księdza...

Z jasnego wnętrza wychynął ku nim człowiek, którego Ania oceniła na jakieś dwadzieścia lat.

– Czy ja mogę coś dopowiedzieć do tej historii, którą usłyszeliście od starego Maksyma? – zapytał z jakąś taką błagalną nutą w głosie, że ksiądz Marek natychmiast skinął potakująco głową.

– Bo ja, proszę księdza... i proszę panienki, rzecz jasna... bo ja jestem synem młynarza – wyznał z początku trochę nieśmiało, ale po przyzwalającym i pełnym zrozumienia ponownym skinieniu głową w wykonaniu księdza nabrał głębiej powietrza w płuca i wypalił: – I ja wiem, czemu ta zhora ze młyna nas wygnała i czemu tam nikogo nie dopuszcza!

– Wobec tego – zaproponował Marek – przejdź się z nami. Odprowadzisz nas do plebanii i wszystko opowiesz.

– E, tam... – Młodzieniec lekceważąco wzruszył ramionami. – Ta opowieść na drogę do plebanii za krótka. Bo my z braćmi, proszę księdza, jak z jeziora wyciągaliśmy na wiosnę zielsko, żeby potem można było z dna muł wybrać, natrafiliśmy na coś i żeśmy to na hakach do łodzi wciągli.

– A cóż to było takiego?

– Trumna.

Marek przystanął i uważnie nadstawił ucha.

– Trumna? Taka zwykła?

– Nie, nie taka zwykła, tylko wielka ciężka dębowa skrzynia, ze srebrnymi okuciami i cała jeszcze blachą ołowianą obita. Jakeśmy trałem ciągli po dnie, to jeden z haków musiał o nią zaczepić, bo nagle kołowrót stanął i liny nie szło już wybierać. Więc my ciągli, aż mało łódź nie poszła pod wodę, ale nagle na linie zrobił się luz, a pod wodą... pod wodą coś jakby się zagotowało. I taki wizg usłyszeliśmy, ale taki straszny, że wszyscyśmy się przelękli. Potem z jeziora wystrzelił słup wody takiej spienionej i coś błysło, i z tej wody poleciało do góry... A że lina całkiem się nie poluzowała, to wyciąglimy trał z wody i się pokazało, że jeden z haków zaczepił o wieko tej właśnie trumny i ją jakoś tak rozwarł przy wyciąganiu z mułu, że się szpara zrobiła, a zawiasy puściły. I myśmy tę trumnę wyciągli z wody, jeno otwartą i pustą w środku.

Zamilkł, spodziewając się jakiejś reakcji ze strony słuchaczy, ale nic takiego nie nastąpiło. Zdziwił się nieco, ale opowiadał dalej:

– No i myśmy tę trumnę do dom przywlekli i na stryszku schowali, żeby ją sprzedać albo komuś pokazać. Bo tu wszyscy znają legendę o złej żydówicy, a teraz się pokazało, że to nie legenda, tylko prawda. A może i nieprawda – zasepił się. – Bo jakby prawda była, to by w tej trumnie jakieś kości chociaż leżały...

– O, święta naiwności! – Ksiądz Marek westchnął. – Idź, synu, z Panem Bogiem, ale wiedz, że ta historia rzeczywiście jest prawdziwa. I że ty też do niej dopisałeś swój rozdział.

Zostawili oniemiałego chłopaka na drodze przed gospodą i wrócili na plebanię.

– No i teraz już wiemy, czemu zjawia tak pilnuje młyna – powiedział poważnym tonem ksiądz Marek po przekazaniu całej historii proboszczowi. – Bo strzeże swojej trumny i nie chce do niej dopuścić żadnego człowieka ze wsi. Boi się, żeby jej znowu w niej nie zamknęli... Dlatego mnie, wam i Ani udało się wejść na strych, a wójt nie dał rady. Bo on jest tutejszy...

– Jezusie Nazareński... – westchnął proboszcz i przeżegnał się z trwogą. – Co za straszna historia...

– I co za straszni ludzie – dodał ksiądz Marek.

– Ludzi trudno czasami zrozumieć, ale łatwo ich potępić – zganił go surowo proboszcz.

– Przykro mi, księżo proboszczu, ale w tej konkretnej sytuacji ja stoję po stronie... ducha – powiedział twardo. – No bo proszę sobie wyobrazić – dodał po chwili nieco łagodniejszym tonem – co musiała czuć ta biedna kobieta, uwięziona w trumnie, wieszona łodzią i wreszcie utopiona żywcem w jeziorze. Żywcem! Jak długo żyła jeszcze, jak długo wołała o pomoc, jak długo, oszalała ze strachu, cierpiąca niewymowne katusze? Cierpiąca nie za swoje winy! I może być ksiądz dobrodziej... – to słowo zabrzmiało niezwykle ironicznie – może być ksiądz proboszcz święcie pewien, że dopóki żyła, dopóty przysięgała zemstę swoim oprawcom. W każdym razie ja na jej miejscu tak właśnie bym robił.

– Ludziom należy się miłosierdzie, należy się litość i wyrozumiałość... – zaczął proboszcz, ale ksiądz Marek przerwał mu natychmiast.

– Wiem. Ja to wszystko wiem. Ale wy widzieliście tę trumnę – albo raczej jej kształt – tylko z zewnątrz. Ja... – dodał cicho – ja ją widziałem od środka. Widziałem ślady paznokci na twardym dębowym drewnie. Widziałem ślady zębów tej biednej kobiety, która za wszelką cenę próbowała się z niej wydostać. Wtedy jej się to nie udało, a teraz... teraz pomógł jej przypadek.

– Ale przecież to nie może być ona?! To tylko duch...

– Tylko duch? – Ksiądz Marek zaśmiał się bez cienia wesołości. – No to gratuluję dobrego samopoczucia...

Była już głęboka noc, gdy proboszcza obudziło walenie w drzwi. Rozespany zwał się z łóżka i otworzył drzwi. Na progu stała Ania, więc proboszcz nerwowo począł rozglądać się za jakimś szlafrokiem.

– Ksiądz Marek zniknął! – wysapała.

– A któraż to godzina, panienko?

– Trzecia w nocy.

– Od dawna go nie ma?

– Nie wiem. Spałam. Nagle coś mnie obudziło. Wyszłam z pokoju, zajrzałam do sąsiedniej sypialni, a tam łóżko puste i nikogo w pokoju.

– Gdzież on mógł pójść po nocy?

– Do młyna.

Proboszcz spojrział na nią podejrzliwie.

– Czy wy naprawdę ciągle myślicie, że to jakiś tam ślepy ksiądz, który tylko łązi po wsi i słucha opowieści? – wykrzyknęła dziewczyna.

– A tak nie jest?

– To nie jest zwykły ksiądz. To taki... boży komandos...

– Żołnierz Jezusa? – zapytał ironicznie proboszcz.

– Jezus nie miał żołnierzy, tylko apostołów. A oni, idąc – dosłownie i w przenośni – za swoim mistrzem i nauczycielem, głosili miłość. Jezus walczył miłością. Bóg ma do walki inne narzędzia. Jednym z tych narzędzi jest ksiądz Marek. Najlepszym z tych narzędzi – poprawiła się po chwili.

– A mnie biskup powiedział, że przysła do nas swojego najlepszego egzorcystę, żeby wyjaśnił sprawę...

– A przy mnie ksiądz biskup powiedział, że wysła go, żeby sprawę rozwiązał!

- I co mamy teraz robić?
- Jedziemy do młyna. Może potrzebować naszej pomocy.

**D**roga w nocy dłużyła się im niemiłosiernie, zwłaszcza że proboszcz kierował swoim Wartburgiem bardzo ostrożnie. Dziewczyna na początku próbowała go popędzać, ale gdy przy pierwszym, dość ostro wziętym zakręcie, zakopali się w piach na polnej drodze i stracili cenne minuty na skomplikowane manewry – dała spokój. Siedziała nieruchomo, wbijając wzrok w ciemność za przednią szybą, i tylko nerwowo zaciskała dłonie. Wreszcie dotarli do Bobrowiska. Wieś wyglądała na zupełnie opuszczoną, w żadnym z okien nie paliło się najmniejsze choćby światełko, nie zaszczekał ani jeden pies podwórzowy, a o tym, by ktoś wyszedł im na spotkanie, nie było nawet mowy. Jechali między stojącymi tuż przy drodze zabudowaniami bardzo powoli, aż wreszcie dotarli do celu.

Przed młynem, w świetle reflektorów, ujrzeli klęczącego księdza Marka. W wysoko uniesionych w górę dłoniach trzymał krucyfiks. Wyskoczyli z samochodu i wtedy do ich uszu dotarł wściekły jazgot, przerywany pojedynczymi zdaniem wypowiedzianymi przez egzorcystę. Otaczała go jasna poświata. Podobna, ale nieco bledsza i o innym, bardziej zimnym odcieniu bieli, otaczała cały młyn. Ksiądz klęczał nieruchomo, ale powietrze wokół niego drgało i wirowało na zmianę.

W pewnym momencie do ich uszu dotarł rozdzierający krzyk:

- Daj mi ich!!! Wydaj!!! Oni zabili!!! Wydaj ich!!!

Nie dosłyszeli odpowiedzi Marka. Zamiast tego ujrzeli, jak z poświaty wokół młyna odrywa się świetlisty kształt i sunie z zadziwiającą ociężałością w jego kierunku.

- Wydaj ich!!! Do mnie należą!!! Wydaj!!! Nagrodę dostaniesz!!!

Znowu nie dosłyszeli odpowiedzi. Ale zjawy widać dosłyszwała, bo zaczęła rechotać.

– Targujesz się, klecho? Co ja ci mogę dać, pytasz? Mogę ci dać... oczy! Dostaniesz swoje oczy z powrotem, chcesz? Ale przyprowadź ich do mnie! Jesteś nam coś winien!!! Jesteś to winien nam wszystkim!!!

Gdy zjawą zaczęła mówić o sobie w licznie mnogiej, Marek zerwał się z kolan. Przez długą chwilę wyraźnie widzieli, że ramiona mu drgają, jakby się wahał, jaką podjąć decyzję. A od poświaty wokół młyna odrywały się kolejno pojedyncze plamy światła i podływały bliżej, niejako stawiając się przed jego oblicze. Otoczyły go kręgiem, ciągle ich przybywało, krąg stawał się coraz ciaśniejszy. Wszystko to odbywało się w absolutnej ciszy, co potęgowało grozę sytuacji.

Krąg świetlistych postaci – bo teraz wyraźnie widzieli, że to są postacie – zaczął wirować, zrazu powoli, a potem tak szybko, że stały się jedną białą ścianą, która skryła księdza Marka przed ich wzrokiem. Nagle – wirujący krąg uniósł się pomału w górę, na wysokość prawie dwóch metrów, tak że ujrzeli od dołu nogi wiszące w powietrzu, a potem runął w dół, tak jakby chciał się zapaść pod ziemię razem ze swoją ofiarą. Krąg rzeczywiście zniknął pod powierzchnią, ale ciało księdza zostało na powierzchni. Znieruchomiałe.

Ania skoczyła ku niemu na pomoc, ale proboszcz był szybszy. Złapał ją za ramiona i mocno przytrzymał w miejscu.

– Nie przeszkadzać! – warknął. – Przeszkadzać nie wolno! Ty tu nic nie działaasz!

– Ale ja muszę!

– Nie – odparł twardo proboszcz. – Ty nie musisz. Ja muszę...

Popchnął ją, wcale nie lekko, w tył, w kierunku samochodu. A sam postąpił dwa kroki w kierunku leżącej postaci. Potem jeszcze trzy kroki, dwa kroki, potem jeden – i już klęczał przy księdzu Marku, unosząc mu głowę.

– Synu – zapytał cicho. – Poradzisz sobie?

Marek z wysiłkiem uniósł powieki.

– Hostia... – wychrypiał. – Daj mi hostię...

– A skądże ja ci hostię wezmę? Myślisz, że noszę przy sobie?

– Ja... ja noszę... ale rękę mam złamaną – odrzekł Marek już nieco pewniejszym głosem. – Mam ją tu, na piersi, w srebrnej papierošnicy. Wyjmij jedną.

Proboszcz sięgnął pod jego sutannę i wyjął metalowe pudełko. Wewnątrz zamiast papierosów leżały równiutko w rzędzie hostie. Wyjął jedną i chciał mu ją wsadzić w usta.

– To nie dla mnie – zaprotestował ksiądz Marek.

– To co mam zrobić?

– Daj mi ją do ręki. Do lewej, prawą nie dam rady.

– Proszę, synu. I co teraz? Lepiej?

– Teraz... lepiej niech ksiądz odejdzie kawałek. One... one wracają...

Proboszcz jak oparzony poderwał się, dając kilka potężnych susów w tył. Wtedy usłyszał, czy raczej wyczuł pod stopami powrót na powierzchnię wirującej świetlistej karuzeli...

Wystrzeliła spod ziemi i wzniosła się na pięć metrów ponad leżącego księdza Marka, a po chwili zaczęła obniżać się ku niemu. Mężczyzna wyglądał z daleka na bezbronny i pokonany. Przynajmniej na pozór... Kiedy świetlisty krąg zrównał się z leżącym i jakby w parodii zatroskania zaczął się nad nim pochylać, zamykając od góry, ksiądz zerwał się na równe nogi i wyciągnął przed siebie lewą dłoń, w której jak miecz i tarczę trzymał hostię.

– Ciało Chrystusa! – zawołał mocnym, dźwięcznym głosem, a wirujący tuż nad jego głową krąg zafalował i stracił nagle cały swój impet. Pojedyncze odbłaski-zjawy odrywały się od niego, ale zamiast wracać w kierunku młyna zapadały się pod ziemię. Znikały jedna po drugiej, aż wreszcie zniknęły wszystkie.

No, prawie wszystkie. Jedna została.



Ksiądz Marek opadł na kolana, tak jakby siły z niego uszły już bezpowrotnie. A zjawą, będąca do tej pory jednym ze świetlistych odblasków, zaczęła się nagle materializować, przybierając coraz bardziej realny, kobiecy kształt. Wreszcie stała przed nim niemłoda, lekko przygarbiona kobieta. Wyglądała tak niewinnie i tak bezradnie...

– Dlaczego? – zapytała szeptem. – Dlaczego zrezygnowałeś z tego, co mogły ci dać?

Podniósł głowę.

– Bo cóż za korzyść ma człowiek, jeśli cały świat zyska, a siebie zatraci lub szkodę poniesie? – zacytował z pamięci. – Łukasz, rozdział dziewiąty, werset dwudziesty piąty – dodał. – Żebyś nie trwała dalej w błogim przeświadczeniu, że to ja jestem najmądrzejszy na świecie. – Uśmiechnął się beztrosko.

– Nie przyprowadzisz ich do mnie? – zapytała, choć wiedziała, jaką usłyszy odpowiedź.

– Nie. Nie mogę tego zrobić. Oni wszyscy już dawno nie żyją.

– A ja?

– A ty... też już nie żyjesz od dawna.

– Więc co ja tutaj robię? Na co czekam?

Uśmiechnął się znowu.

– Na mnie. I na to, co mam dla ciebie. – Wyciągnął przed siebie lewą rękę. Na jego dłoni spoczywała nieco sfatygowana hostia.

A potem udzielił jej komunii i... zjawą zniknęła. Ale nie zapadła się, tak jak poprzednie, pod ziemię. Uleciała do góry. Zaraz potem zniknęła migotliwa poświata wokół młyna.

Serdeczność pożegnania w wykonaniu proboszcza Stępniewskiego w dwójnasób wynagradzała pełen szacunku dystans, jaki w tej ostatniej wspólnej chwili

zachowywał wójt Kaletnika. Mimo gipsu na prawym nadgarstku, założonego niezbyt fachowo, ale bardzo solidnie, przez weterynarza z nieodległych Szypliszek, uśmiechnięty ksiądz Marek długo ścisnął się z proboszczem, i wymienił męski uścisk lewej dłoni z pochylonym w niskim ukłonie wójtem. Ania ochoczo nadstawiała do całowania oba policzki.

Do Suwałk wracali tą samą taksówką, która ich tu przywiozła. Do kierowcy najprawdopodobniej jeszcze nie dotarły nowiny, bo zamiast zacząć ich wypytywać o szczegóły przeprawy z duchem, co w tej sytuacji byłoby rzeczą zupełnie naturalną, prowadził pojazd w całkowitym milczeniu i tylko raz po raz ciekawie zerkał w tylne lusterko. Ale nawet gips, widoczny na prawym nadgarstku niewidomego księdza, nie skłonił go do zadania żadnego pytania. Cóż, wypadki się zdarzają, zwłaszcza gdy się jest ślepym.

– Czy nigdy nie miałeś pokusy, aby przestać walczyć z siłami, które kiedyś mogą się okazać potężniejsze od ciebie? – zapytała w pewnym momencie dziewczyna. – Nie myślałeś, aby się do nich przyłączyć, skoro oferują ci tak wiele? Ja chyba nie potrafiłabym się oprzeć...

Przez chwilę jechali w ciszy. Nagle ksiądz odwrócił się w stronę dziewczyny, a ta odniosła wrażenie, jakby na nią spojrział.

– Pamiętaj – powiedział, kładąc jej w przyjaznym geście dłoń na głowie – nie sprzedawaj duszy diabłu. Nigdy...

– Dlaczego? – zapytała.

– Bo Bóg da ci za nią więcej...

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń  
na każdy czytnik



Dobre ebooki  
w dobrej cenie

szukaj na  
[www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)  
lub w e-księgarniach

**RW2010**

**REWOLUCJA WYDAWNICZA!**